

The background of the entire image is black, covered with various splatters and streaks of red ink. A prominent vertical streak runs down the right side, starting from a large, irregular red blot at the top right. Numerous smaller, circular and irregular red spots are scattered across the black field, particularly concentrated in the lower half. The text is overlaid on the left side of this composition.

Marek Dryjer

Krwawe pola

Marek Dryjer

KRWawe POLA

© **Copyright:** Marek Dryjer & e-bookowo

Projekt okładki: Ilona Dobijańska

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-7859-923-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody
wydawcy zabronione.

Wydanie I, 2018

[Kup książkę](#)

„Na drzewie milczenia wisi jego owoc: pokój”

Artur Schopenhauer

„Trzeba rozdrapywać rany przeszłości, aby nie zarosły błoną podłości”

Stefan Żeromski

PAMIĘCI POMORDOWANYCH...

[Kup książkę](#)

I

Smutne dzieciństwo chłopaka * Spadające gwiazdy * Pragnienie przemocy * Bójki * W stronę morza * Spław Odrą i Wisłą * Na Bugu * Sokal * Rozkawałkowane ciało człowieka * Praca na farmach i w zajazdach * Opieka nad chorymi
* Sroga zima * Zapłata * Stary koń * Miasto Kowel

Oto człowiek. To dziecko, które stoi w progu zaciemnionej chaty i wpatruje się w otaczającą je przestrzeń. Jest nagie i wychudzone. Zapada zmrok, ostatnie promienie światła znikają za odległymi wzgórzami, których wysokie szczyty tworzą na tle czerwieniejącego się nieba świetliste aureole. Dokoła chłopca tylko ugory, na których leżą grube warstwy ciężkiego śniegu. Dalej bagniste lasy, gdzie nie ma już żadnych zwierząt. Chłopak odwraca się i znika wewnątrz domu, cały trzęsie się z zimna. W środku panuje ciemność. Dzieciak rozpala nieduży ogień, którym się ogrzewa. Pilnuje płomienia, żeby nie zgasł.

W głębi dużej izby na skrzypiącym łożu leży jego matka, która jest malarką, ale tak naprawdę nie maluje już wcale. Nie ma

dość talentu, jest za to piękna. Kilka jej prac zdobi ściany domu. Na jednej z nich jego smutny portret w dniu urodzin w roku dwudziestym piątym dwudziestego wieku. Ponad głową deszcz meteorów, które rozjaśniają płótno. Rój kwadrantydwów spadających z nieba. Na innej widać zaćmienie słońca, które wtedy było. Chłopak ma wielu ojców, choć prawdziwego nie zna. Słyszy ich głosy i języki, których nie rozumie. Widzi nagie sylwetki. Miał siostrę, ale umarła po porodzie. Stoi siny i wycieńczony, nic nie umie, a już rodzi się w nim pragnienie przemocy.

Kiedy kończy piętnaście lat, opuszcza matkę i odchodzi w świat bez zapowiedzi. Wyrusza na wschód, trzy miesiące później dociera do Wrocławia. Po drodze widzi śmierć, która odbiera życie jedno po drugim. Chłopiec słyszy obce języki, dostaje się na barkę, którą płynie na północ. Dostrzega martwe nadbrzeże, zniszczone miasto i czarną rzekę. W nocy nie widzi już niczego. Słyszy własny nierówny oddech i taki sam warkot silników. Po tygodniu dobija do Polic.

Chłopiec pracuje za wikt i opierunek przy portowych wzmocnieniach, mieszka w starej przyczepie blisko morza. Podziwia majestatyczne piękno i wielkość, która go przytłacza. Sprząta w tawernie, codziennie obserwuje zmagania żołnierzy z przestępcami, którzy walczą ze sobą na bagnety na śmierć i życie. Chłopak wynosi ciała, które zakopuje w piasku na plaży. Oddycha powietrzem przepełnionym solą i trupim odorem. Ciemne muszle mieszają się w wodzie z bursztynem w kształcie łez. Duże morskie bałwany napierają na podmokłe wały niczym armia najeźdźców na oblężone miasto.

Chłopak dostaje się na statek, którym płynie do Gdańska. Obok inne opancerzone okręty przepływają niebezpiecznie blisko. Błękit nieba rozleniwia, słońce oslepia. Chłopiec widzi samoloty, które zwartym szeregiem lecą w stronę brzegu. Słyszy wystrzały. Brudny i wychudzony pracuje pod pokładem i prawie nie śpi. Tydzień morderczego rejsu dobiegł końca. W porcie panuje zgiełk. Marynarze uwijają się jak w ukropie, przeładowują zapasy i uzbrojenie. Bandy rzezimieszków włóczą się po okolicy. Wieczorem piją na umór i szukają mocnych wrażeń. Kobiet od dawna już tam nie ma.

Walczą ze sobą na pieniądze, często do upadłego. Pastwią się wtedy nad pokonanym. Chłopak uczestniczy w krwawych potyczkach, jest szybki, dobrze zbudowany i ma duże pięści. W martwych oczach wrogów widzi strach i przerażenie. Pewnej nocy z zaskoczenia zostaje ugodzony nożem, pada na kamienistą promenadę. Próbuje się jeszcze podnieść, ale nie daje rady. Brakuje mu sił. Dostaje wtedy drugi cios prosto w plecy. Umarłby zapewne, gdyby nie zaopiekował się nim stary rybak, który go karmi, sprząta i pielęgnuje. Dwa miesiące później chłopiec nie ma już mu czym płacić, ucieka więc i sypia w zdezelowanych kutrach, przymierając głodem, dopóki nie trafi na barkę, która zabierze go na południe.

Niska linia brzegowa ciągnie się w nieskończoność. Stada dzikich kaczek lecą w przeciwnym do rejsu kierunku. Chłopak widzi szpalery drzew, których obszerne, pożółkłe korony pną się ku słońcu, kiedy ono chowa się za chmurami. Siedemnaście dni na Wiśle, a potem kolejny tydzień na Bugu. Śpi wśród węgla

i stali, między innymi, takimi jak on, brudny i wystraszony. Nocą wydaje mu się, że jest ostatnim człowiekiem na Ziemi i że Bóg już dawno temu o nim zapomniał. Samotny wśród pielgrzymów na krańcu świata.

O świcie dopływają do Sokala. Chłopiec słyszy ptasie głosy we mgle. Rybitwy czarne podrywają się do góry. Widzi zniszczone zabudowy portu i salwinie pływające przy nadbrzeżu. Włóczy się ciasnymi uliczkami, które nie mają końca i które nikną w oddali schowane w oparach czarnego dymu. Cisza miesza się z odgłosami wystrzałów, ludzki płacz dociera dopiero po chwili. Nocą ładacznice nawołują go do siebie. Proponując cielesne uciechy, kuszą niczym zakazany owoc. Po tygodniu jest już w drodze, ciągnie szlakiem na północ, a potem na zachód. Ubrany w popękany kozuch. Piaszczyste podłoże i olsy dookoła, gołe, wysokie, z rozłożystymi gałęziami. Opadające z góry płachcie mokrego śniegu. Zacinający wiatr, który rozwiewa mu włosy. Mija wioski i kolonie, pracuje za strawę i tytoń. W lesie dostrzega rozkawałkowane ciało młodego mężczyzny.

Pracuje na farmach i w zajazdach, rąbie drwa i przynosi wodę. Pomaga chorym, sprząta, zajmuje się zwierzętami. Ze wszystkich krain na Ziemi, które dotąd poznał, ta wydaje mu się najlepsza: mroźna, surowa, pełna lęku i pozbawiona nadziei. W ramach zapłaty otrzymuje starego konia i na nim, zimą roku 1943, dociera do miasta Kowel.

II

Piekielne mrozy * Fałszywy lekarz i kaznodzieja * Oskarżenie * Diabelska przemowa Holdkurtza * Przegrany spór * Niekontrolowana agresja * Zaślepieni ludzie * Ucieczka * Ponowne spotkanie * Amnezja doktora * Liche toasty

Śnieg sypał już od tygodnia, pokryte nim ulicówki błyszcząły w świetle latarni. Wierni gromadzili się w kościele, gdzie odprawiano modły. Było ich mniej niż zwykle. Od jakiegoś czasu w szpitalu zbierały się tłumy, które uczestniczyły w codziennych dysputach na temat trybu życia. Prelekcje prowadził sławny profesor.

– Moi drodzy – mówił. – Obżarstwo jest złem, jednym z grzechów głównych, głodowanie zaś oczyszcza organizm. Powiadam po trzykroć, dieta i basta, a że powszechna sytuacja do tego zmusza, to zachowanie postu jest poszanowaniem nie tylko boskich reguł, ale i odzwierciedleniem społecznego prawidła. Oczyszcście umysły, by wolne stały się u progu bram nieba, gdzie wita was sam Chrystus. Datki dla biednych i na rozwój placówki, proszę pozostawić u mnie.

Potem ów uczony i kaznodzieja w jednym oglądał okaleczonych i chorych. Zapisywał leki oraz zioła, które miały im pomóc. W sali było duszno, a okna zawarte ze względu na mróz. Nie szło oddychać. Mieszkańcy tłoczyli się obok siebie, stojąc godzinami w niewygodnej pozycji. Byli brudni, mieli przekrwione oczy i zaschniętą krew na ciele. Uzbrojeni w broń białą i palną, wyglądali jak pobita armia najemników. Był wśród nich chłopak, który trafił tam, by opatrzyć ranną nogę, poharataną przez wnyki kłusowników podczas wędrówki przez nocne pola. Stał na samym końcu i z zaciekawieniem przyglądał się wprawionemu mówcy.

– Tyle śniegu w tej mieścinie nie było od wieków – odezwał się ktoś z tyłu.

Chłopiec się odwrócił. Zobaczył zezowatego wieśniaka z włochatą czapą naciągniętą na uszy i z przekrzywionym nosem, a kiedy miejscowy otworzył usta, pojawiły się jeszcze połamane zęby w kolorze ziemi.

– Nie wiem, może – odparł.

– Sypie i sypie, bolą już od tego gnaty.

– Od sypania?

– A niech to – obruszył się wieśniak. – Od rąbania, przecież mówię.

Chłopiec tylko przytaknął. Do środka wszedł barczysty mężczyzna, miał na sobie skórzany płaszcz i wysokie oficerki, którymi głośno tupał. Zdjął z głowy okrągłą czapę z lisiego futra i po tym, jak strzepnął z niej śnieg, założył z powrotem. Miał kruczoczarne włosy, które równo opadały na ramiona, a na czole

symetrycznie podcięta grzywka sprawiała wrażenie odcisniętej od niedużego rondla. Pewnym krokiem podszedł do profesora, który był od niego niższy o głowę. Obejrzał go sobie z bliska, spojrzał mu w twarz i zaśmiał się.

– Toż to łgarz i oszust, co wyłudza od was ostatnie dukaty, a kiedy potrzebujecie pomocy, zaślepia i mam niestrawnymi recepturami. Brak mu odpowiedniej wiedzy i tytułów. Okrada was, mili państwo.

Profesor się oburzył.

– Ukończyłem państwowe studia i praktykowałem na zachodzie.

– Oszust, powtarzam – dodał przybysz. – Ilu z was umiera, po tym lichym serum? Jakies dwa tygodnie wstecz spotkałem go w innym miejscu, gdzie od jego praktyk w sumie zginęło siedmioro ludzi. Wśród nich były dwie śliczne dziewczynki, które omotał, a po zaspokojeniu rządzy, uśmiercił rzekomym antidotum na ich smutek.

– On kłamie! – wykrzyknął pryncypał. – To diabeł przemawia do was jego słowami. To sam szatan.

– Miesiąc wcześniej był winny śmierci dwóch rodzin w Łucku – przerwał mu obcy, trącając barkiem krzyż, który spadł ze ściany.

– Hańba! – krzyczeli ludzie. – Zabić go!

Wyciągali broń i mierzyli z niej do profesora. Noże i sierpy błysnęły w ich rękach. Zaogniło się i atmosfera zrobiła się gorąca, posypały się szyby. Chłopiec wymknął się na korytarz. Padły pierwsze strzały, zakotłowało się. Profesor wyskoczył przez okno z pierwszego piętra.

– Niech skonam, jak skurczybyka nie ubiję. Pazerne bydle z niego i szantrapa – grozili zgromadzeni w szpitalu mężczyźni, planując pościg.

Chłopiec przedzierał się przez zaspy na podwórzu, jego nogi grzęzły w śniegu po kolana. Widział szare domy i takie same dachy, z których zwisały grube sople o zaostzonych końcach. Z kominów wylały siwy dym. Brodził w tej zmarzlinie aż do drzwi kantyny, przez które przetoczył się niczym lawina wraz z innymi. W środku panował półmrok. Weszli głębiej cali ubłoceni i mokrzy od śniegu. Przy barze siedział masywny mężczyzna, dłonie trzymał na grubym blacie. Obok niego leżała jego czapka i spora kupka pieniędzy, które na przemian odważał lewą i prawą ręką, jak gdyby przeliczając. Pukał wtedy kłykciami w dębowe stoje. Pił zimną wódkę. Ludzie podeszli bliżej, po czym zatrzymali się, tak jakby podświadomie czegoś się obawiali. Mieli porwane kurtki i postrzępione spodnie, wyglądali jak nocne upiory, które ujrzały jeszcze okropniejszego ducha. Dzieciak zamówił kielicha i sięgnął do kieszeni.

– Doktor stawia – oznajmił barman.

Chłopak wypił setkę i odstawił szklaneczkę na jasnym kon-tuarze, spojrzał też na dobroczyńcę, ale ten nie poruszył nawet głową. Przez cały czas patrzył przed siebie. Zgromadzeni do-okoła niego ludzie rozpoczęli gorączkową dysputę.

– Panie doktorze, kiedy go pan spotkał ostatni raz?

– Kogo, profesora?

– No mówił pan, że był pan w Łucku?

– Nigdy tam nie byłem – odparł obcy hipnotycznym głosem.

Odwrócił głowę i spojrzał czarnymi jak węgiel oczami w ich stronę. Nie miał rzęs ani brwi, dosłownie żadnego zarostu; posiadał gładką i okrągłą jak globus twarz. Wtedy niespodziewanie się uśmiechnął. Ukazały się lśniące, białe zęby. Przeraził ich tym.

– Gdzie go pan zatem widział?

– Nie widziałem dotąd tego człowieka.

Spojrzeli po sobie.

– Słyszał pan zapewne o nim? Wiedział o jego istnieniu?

Doktor pokiwał głową. Niewiadomą pozostało, czy było to zaprzeczenie, czy być może potwierdzenie ludzkich słów. Zapanaował gwar, który przeistoczył się w dyskusję polemizujących ze sobą mężczyzn, którzy najpierw się oburzyli, a potem głośno roześmiali. Nieznajomy siedział nieporuszony i cedził przez zęby okowitę. Ludzie zaczęli wznosić toasty.